

Pisząc o ostatnich opowiadaniach Andrzejewskiego, Kruczkowskiego, Brandysa i innych, Andrzej Kijowski wyprzedzał na łamach „Przeglądu Kulturalnego” (nr 37) pogląd, że utwory te, jakkolwiek różnią się między sobą zarówno ideowo jak i formalnie, są w gruncie rzeczy jakgdyby jednym utworem, obracającym się dookoła zagadnienia węzłowego, którym jest zagadnienie władzy.

Do kręgu tych pisarzy zaliczyć należy publicystę „Przeglądu Kulturalnego” Jerzego Broszkiewicza, autora sztuki „Imiona władzy”, której prapremiera odbyła się w połowie września w Warszawie w Teatrze Wojska Polskiego, przemianowanym na Teatr Dramatyczny. Utwór Broszkiewicza to trzy jednoaktówki, w których autor stawia problem władzy, a raczej jej wynaturzeń, wypaczeń i zbrodni. Obraz pierwszy „Klaudiusz” to monolog konsula Klaudiusza. Ten władca i dyktator rzymski zwierza się widzowi w ciągu pół godziny, dlaczego kazał zgładzić konsula Kwintusa, z którym wspólnie sprawował rząd. Dowiadujemy się, że Klaudiusz zamordował szlachetnego Kwintusa oczywiście dla dobra republiki. Mając ten sam cel na oku oskarżył go świadomie o zdradę. Broszkiewicz oparł się w swoim monologu scenicznym, mniejsza o to, świadomie czy nieświadomie, o napisany dziesięć lat temu utwór Artura Köstlera „Światło w ciemności”. U Köstlera sytuacja wygląda tak, że sędzia śledczy żąda od wybitnego polityka, by dla dobra republiki przyznał się do planowanego zamachu na przywódcę. Republika nie może przecież skazywać na śmierć tylko za szkodliwe dla niej, zdaniem sędziego, myśli. Stary rewolucjonista powinien to zrozumieć i dla dobra republiki dać się zgładzić za coś niepełnionego. Różnica między „Światłem ciemności” i „Klaudiuszem” tkwi w tym, że Köstler napisał swój utwór w okresie, kiedy kultura jednostki znajdowała się u szczytu, Broszkiewicz zaś ukazał ze sceny zbrodnie dokonywane w imię dobra republiki po XX Zjeździe KPZR i po potępieniu kultu jednostki. Nie wynika z tego, żeby dla tych, którzy Köstlera nie czytali, albo w ogóle o jego istnieniu nie wiedzą, monolog Broszkiewicza nie był czymś nie tylko piekącym aktualnym, ale również nie nasuwał re-

fleksji natury głębszej, do których publicystyka przeważnie nie pobu-  
dza.

Obraz drugi — „Filip” napisany został chyba po to, żeby widz raz jeszcze uświadomił sobie, że w ustroju opartym o tyranie, tyran, przychodzący do władzy po poprzedniku tyranie, w gruncie rzeczy, jeżeli chodzi o rządzenie, niczym się od niego nie różni. Na poparcie tej tezy, nie grzeszącej oryginalnością, Broszkiewicz zmobilizował dwór hiszpański, nie oszczędził nam widoku młodej kochanki znajdującego się w agonii królewskiego starca. Słuchając „Filipa” mimo woli nasuwają się melancholijne refleksje na temat „Don Carlosa” Schillera. Trudno opędzić się

### List teatralny z Warszawy

## W pułapce władzy

myślom, że genialny poeta niemiecki potrafił w okresie ucisku politycznego zdobyć się na płomienną rewolucyjność, potrafił stworzyć nieśmiertelną postać markiza Pozy, którego słowa: „Daj nam wolność w myśli”, dziś tak samo, a może bardziej jeszcze niż za życia Schillera, elektryzują widzów. Niestety nie ma u Broszkiewicza ani Pozy, ani tego rodzaju myśli czy refleksji, które potrafiłyby elektryzować. Przyznajemy mu raczej, tak jakbyśmy ją przyznawali komuś, kto twierdzi, że dwa razy dwa jest cztery. I to mniej więcej wszystko.

Obraz trzeci „Sto czternaście”, współczesny, przenosi nas do celi więziennej, w której zamknięci są ponumerowani na plecach więźniowie. Toczy się przed nami dyskusja na temat względności takich pojęć, jak zbrodnia, wina i kara. W pewnej chwili osądzeni stają się sędziami, sędziowie zajmują ich miejsca w celach więziennych. Na początku tego obrazu, którego aluzyj-

ność jest chwilami aż nazbyt natarczywa jeden z więźniów opowiada o muchach i pająku. I znowu powstają skojarzenia. Myślimy o „Muchach” Sartre'a granych równocześnie w Teatrze Narodowym, które obracają się dookoła problemu władzy i jej wynaturzeń. I znowu jak w dwóch pierwszych obrazach, odczuwamy niedosyt.

Pisząc utwór pozbawiony akcji będący udramatyzowaną dyskusją polityczno-społeczną, Broszkiewicz postawił sobie ambitne zadanie, do którego jednak zabrakło mu sił. Ładunek myślowy, filozoficzny, jest tu za mały. Bez tego ładunku, który tak nas olśniewa np. u Bernarda Shaw, sztuka dyskusyjna nie spełnia swego zadania. Niezależnie od tych zastrzeżeń, trzeba stwierdzić, że Broszkiewicz czuje scenę, opanowuje tajemnicę i możliwość zarówno monologu jak i dialogu. Jest w nim jakaś żarliwa niespokojna nerwowość, dzięki której potrafi wciągnąć widza w to, o czym się na scenie mówi.

Teatr Dramatyczny, niezupełnie ze swojej winy nie przyszedł Broszkiewiczowi z właściwą pomocą. Płynię to przede wszystkim stąd, że „Imiona władzy” to utwór nadający się na małą scenę kameralną, którą Teatr Dramatyczny nie jest. Reżyseria Lidii Zamków nadała w dodatku utworowi Broszkiewicza charakter przesadnie monumentalny. Mamy do czynienia z jakimś misterium, przy czym głośniki szaleją w sposób nieznośny, nie pozwalają na skupienie. Z wykonawców wybija się na czoło Maciejewski. Jego monolog Klaudiusza jest olśniewający. Wszystko, co artysta mówi, jest plastyczne, wyraziste i przekonujące; poprzez morze słów widzimy całego człowieka, całą sprawę. Nieporozumieniem jest powierzenie Mikołajskiej roli kochanki Filipa. Do wróbla nie warto strzelać aż z armat. Świderski jako Filip starał się ucziwociwić tę postać, która u autora szeleści papierem. Na zakończenie jeszcze jedno. W artykule, umieszczonym w programie Stefan Treugutt wybiela „Imiona władzy”, twierdząc, że jest to utwór o symbolice optymistycznej. Niepotrzebne to twierdzenie jest tylko remanentem z epoki minionej, ale nie znajduje w sztuce Broszkiewicza należytego umotywowania.

JACEK FRÜHLING